Nr. 4. Lwów dnia 21. Czerwca 1871. Rok I.

GAZETA LITERACKA

Wychodzi co 1., 11. i 21. każdego miesiąca

Przedpłatę i ogłoszenia przyjmuje biuro Administracji Dziennika polskiego we Lwowie.

Przedpłata wynosi:

Z przesyłką pocztową w Państwie Austrjackiem:
rocznie **3** złr. **60** cent., półrocznie **1** złr. **80** cent., kwartalnie **90** cent.

Z przesyłką pocztową za granicę:
rocznie **4** złr., półrocznie **2** złr., kwartalnie **1** złr.

Ogłoszenia

przyjmują się za opłatą **6** cent. od wiersza drobnym drukiem, oprócz opłaty stemplowej **30** ct. za każdorazowe umieszczenie.

Całoroczni abonenci otrzymują bezpłatnie ilustrowany kalendarz na r. 1872.

Listy Nie-Juniusza.

List VI.

Piśmiennictwo ludowe.

Jeden z pisarzy nie pomnę, naszych czy obcych, chciał udowodnić, iż nie może być mowy o osobnem piśmiennictwie ludowem, iż takowe nie istnieje, istnieć nie powinno, a jest i powinno być jedno tylko, ogólne narodowe piśmiennictwo. Jak w każdym paradoksie, tak i w tym jest cząstka prawdy — a mianowicie ta, iż piśmiennictwo ludowe nie jest czemś od całości narodowej literatury odrębnem, ale jest owocem jednego i tego samego ducha, jest jedną z gałęzi tylko całej pracy umysłowej narodu. Jest w tem i ta jeszcze prawda, że piśmiennictwo ludowe nie może się chińskim murem odgrodzić od reszty piśmiennictwa narodowego, ale w miarę wzrostu oświaty ludu, obejmuje ono co raz więcej prac, które pierwotnie nie dla ludu były przeznaczone, i przezeń nie były czytane. Słyszałem niedawno, że w pewnej wiosce nad Wisłą, gdzie zdawna szkoła istnieje, i lud wcale jest oświeconym, dano włościanom czytać Pana Tadeusza Mickiewicza, i wcale im się podobał. Owoż dla tej specjalnie wioski, a może i dla wielu innych sfera piśmiennictwa ludowego już się rozszerzyła, a po latach kilkudziesięciu, może ona już obejmie całą narodową literaturę.

Mimo to jednak pojęcie piśmiennictwa ludowego jest uprawnionem, a to głównie ową ogromną różnicą między wykształceniem klas oświeceńszych, a wykształceniem ludu. I jakkolwiek twierdzę, że wszelkie wyniki nauki, chociażby i najtrudniejszej, można spopularyzować, t. j. przedstawić w formie dla ludu przystępnej, to przecież nikt utrzymywać nie będzie, by prace autorów, którzy wyniki te zdobyli, prace przedstawiające całą mozolną drogę, jaką przechodzi umysł ludzki, zanim dojdzie do owych wysokich rezultatów wiedzy, mogły dla ludu być zrozumiałemi. A wreszcie i sama forma, w jakiej ogólna pojawia się literatura, nie jest tego rodzaju, by umysł nie ukształcony mógł przyjąć pokarm w tej formie mu podany. Musi zatem istnieć osobna gałęź literatury, jako piśmiennictwo dla ludu, a jak powiedziałem wyżej, będzie się ono co raz bardziej rozszerzać, coraz więcej obejmie dzieł, czytanych dziś tylko przez klasy oświeceńsze, im bardziej oświata ludu będzie postępować.

Zadanie piśmiennictwa ludowego u nas bardzo jest jasne, a proste. Oto przedewszystkiem powinno ono być tego rodzaju, by zachęcało do czytania. Lud nasz jeszcze nie pojął należycie potrzeby oświaty, książka w jego mniemaniu jest zbytkiem, czytanie jest próżnowaniem. Książka zatem, która dostanie się do rąk włościanina, powinna być tego rodzaju, ażeby on po przeczytaniu jej czuł i wiedział, że mu korzyść przyniosła, że grosz na nią wydany nie był zmarnowanym, że czas na jej przeczytanie użyty, korzystnie był obróconym; powinna być tego rodzaju, by włościanin już drugą książkę z przyjemnością brał do ręki, by mu się wreszcie czytanie stało istotną potrzebą. A celu tego piśmiennictwo ludowe nie dopnie, dając same rzeczy zabawne, powiastki z życia ludu, często zbyt wiernie malujące ujemną stronę tego życia. Umysł naszego włościanina zanadto jest praktycznym, by go to stale zająć mogło. On to widzi codziennie na własne oczy, na cóż mu jeszcze czytać w książce? Wiecznie mu dajemy jedno i to samo: poczciwy Bartłomiej — pijanica Walek — owoż jest treść naszych ludowych powiastek!

Nie chcę przez to powiedzieć, by miały być wykluczone te sceny z życia ludu; przeciwnie, da się w nich zawrzeć bardzo wiele rzeczy pożytecznych, ale niech te powiastki wyjdą nieco po nad tę sferę codzienną, już aż nazbyt włościaninowi znaną, niech ją podniosą, uszlachetnią, urozmaicą czemś, co dotąd umysłowi czytającego znanem nie było, a obok tego, niech powiastki ludowe przeniosą czytelnika w sfery zupełnie mu nowe. Przedewszystkiem zaś winno piśmiennictwo ludowe, czy to w formie powieści i opowiadań, czy w jakiejkolwiek innej, byle przystępnej dla ludu, podawać mu wyniki wiedzy ludzkiej, w życiu praktycznem potrzebne i pożyteczne, obznajamiać go z otaczającą przyrodą i jej zjawiskami, tak temi, które są szkodliwe, i przeciw którym bronić się powinien, jak i temi, które dla siebie zużytkować może, — powinno podawać mu to wszystko, co w jego zawodzie gospodarczym może być przydatnem, zaznajamiać z własną ziemią i jej dziejami, tudzież z tem wszystkiem, czego po nim wymaga życie w społeczeństwie, a przez to samo co raz bardziej go sposobić do obywatelskiego zawodu, jednem słowem: kształcić umysł i serce, rozwijać intelektualną, jako też i moralną stronę życia duchowego. A jeżeli to wszystko podanem będzie w formie przystępnej, ale pięknej i broń Boże nie trywialnej, bo ta zraża lud, w formie takiej, by czytający nie czuł, że go pisarz z góry chce nauczać, ale by się zaprzyjaźnił niejako z książką i jej autorem, jeżli wreszcie będzie ogrzane prawdziwą miłością ludu tak, iż z po za słów autora czuć będzie żywo a zacnie bijące serce i zrozumienie tego, co wieśniaka boli — wtedy, ale tylko wtedy, piśmiennictwo ludowe mieć będzie wartość i cel jego zostanie osiągniętym. Nigdy zaś dosyć podnieść nie mogę owej strony praktycznej, bo nie raz słyszałem ludzi, zajmujących się szczerze rozszerzaniem książek między ludem, jak narzekali na brak tego kierunku praktycznego, twierdząc, iż dla tego głównie lud czytać nie chce.

Pozwolę sobie zrobić dziś krótki przegląd pism, wydawanych specjalnie dla ludu, poczem przejdę do książeczek ludowych.

We Lwowie wychodzą trzy pisma ludowe: *Chata*, *Dzwonek* i *Tygodnik Niedzielny*. Zobaczymy jaka ich wartość. *Chata* naszem zdaniem zupełnie chybia celu, a nawet jest szkodliwą. Sąd ostry, wybaczą więc czytelnicy, że się dłużej nieco przy piśmie tem zatrzymam, ażeby szczegółowo sąd ten usprawiedliwić.

Chata jest pismem kościelnem. Mam przed sobą 16 numerów z roku bieżącego. Na powitanie czytelników, daje *Chata* wierszyk z powinszowaniem nowego roku. I cóż tam znajdujemy? Oto treścią całego wiersza jest życzenie, by papież został oswobodzony z niewoli, w jakiej się obecnie znajduje. Nie wchodzimy w tę kwestję polityczną, przechodzącą zakres pisma naszego, nie rozbieramy pytania, czy to rzeczywista niewola, ale pytamy szan. autora i szan. redaktora, czy nic więcej ludowi na nowy rok nie ma do życzenia? czy to jest całą treścią potrzeb naszego ludu? czy ten lud nie ma ojczyzny, która jest również w niewoli? Czy godzi się stawiać rzecz tak, iż tam „za górami“ streszcza się wszystko, cały cel dążeń i pragnień naszych, cała przyszłość? Nie bierzemy za złe prawowiernemu autorowi, że dzisiejsze położenie Rzymu sprawia mu boleść — to rzecz wiary jego i przekonania, ale wyłączność, z jaką to napisane, ale zapomnienie o wszystkiem innem, co powinno zajmować serca tego ludu, zapomnienie o tem, w czem streszcza się cel prac naszych i walk od lat stu, to *trucizna*, którą panowie zaszczepiacie w umysły ludu.

Idźmy dalej. Z drugim numerem zaczyna się jako *naczelny* artykuł „Historja o cudownem objawieniu się Najświętszej Panny w Lourdes“ i ciągnie się przez 6 mówię sześć numerów, i obejmuje 34 kolumn druku. I cóż tam znajdujemy? Historję cudów, które w jakiemś francuzkiem miasteczku zdarzyć się miały, z której lud dowiaduje się n. p. że Najśw. Panna kazała dziewczynce, której się objawiła, *jeść trawę*, tak! jeść trawę; że cudowna woda z Lourdes uzdrawia, i t. d. i t. d. W numerze 5. znajdujemy opowiedziany cud w mieście włoskiem Sorriano: Podczas nabożeństwa „posąg św. Dominika wysuwa się naprzód, a potem cofa się na swoje miejsce, podnosi prawą rękę i wyciąga ją groźnie ku modlącym się, czoło jego się marszczy, a martwe źrenice zajaśniały surowem spojrzeniem, pałającem groźbą, lecz później podnoszą się ze słodyczą do cudownego obrazu Najśw. Panny, umieszczonego w ołtarzu“ i t. d.

W numerze 4. i 5. znajdujemy długą opowieść: „Pokutnik z czasów Piusa VIIgo.“ Jak sądzicie, grzesznik odpokutował swe grzechy? Pracą? Poświęceniem dla bliźnich? Pełnieniem czynnych cnót chrześciańskich? Nie! modlitwą i tylko modlitwą, a pokuta ta trwała lat kilka. To wasza moralność bezczynna, próżniacza, egoistyczna, zamykająca się w kontemplacji, a nie działająca nic dobrego na zewnątrz! Znajdujemy dalej powieść: „Św. Zita,“ której sensem moralnym: „że cierpliwość i miłosierdzie najprędzej nas do nieba zaprowadzą, że udręczenia, powstające z potwarzy, a znoszone dla miłości Boga, są tak wielką zasługą, jak męczeństwo dawnych świętych“ — a gdzie *praca?* gdzie czyn dla dobra ogółu? Tego nie ma w moralności *Chaty*, modlitwa i cierpliwość wystarczą. W numerze 13., 14. i 15. ciągnie się długa opowieść: „Obraz cudowny Najśw. Marji Panny w Rzymie,“ opowiadająca znowu rozliczne cuda. W numerze 16. znajdujemy opowieść: „Brat Bernard Kwintawalle,“ zachwalająca życie klasztorne, jako drogę do usprawiedliwienia, a w której znajdujemy rzecz arcyniemoralną; autor bowiem powiada, że kiedy u św. Franciszka upominał się mieszczanin, by mu zapłacił za kamienie, które kupił u niego do budowy kościoła, święty zdumiał się nad *bezczelnym łakomcą*. Więc to jest „bezczelne łakomstwo“ upominać się o pieniądze za rzecz sprzedaną!

Ale dosyć tego. Z tych kilku przytoczonych ustępów poznają czytelnicy, jaki jest kierunek tego pisma. Nie mamy nic przeciw temu, by pismo dla ludu było natchnione duchem religijnym — przeciwnie, uważamy religię jako silną dźwignię moralności ludu, i potępilibyśmy pismo ludowe, któreby z religią wzięło rozbrat. Ale również potępić musimy stanowczo pismo, które całą uwagę ludu zwraca już nie ku religii, ale ku Rzymowi, tam mu jakąś idealną wskazując ojczyznę, pismo, które moralność streszcza w modlitwie i cierpieniu, nie w pracy i czynach, pismo wreszcie, w którem na każdej kartce spotykamy się z cudami. To, powtarzamy raz jeszcze — *trucizna* moralna, bo lud się przyzwyczaja nie w pracy, nie w czynach, nie w zasłudze, ale w działaniu sił nadziemskich widzieć ratunek i zbawienie, a w koniecznem tego następstwie popaść musi w próżniaczy kwietyzm. Na co mu szkoły, kiedy pan Bóg i bez szkoły go zbawi, na co mu pracy i oszczędności, kiedy w nieszczęściu można napisać list do Matki Boskiej, (*Chata* Nr. 10. str. 161), a ta wyratuje z biedy — na co mu lekarza, kiedy jest cudowna woda w Lourdes, na co ratunku przy pożarze, kiedy Pan Bóg jak zechce, pożar może ugasić. I tem karmicie lud nasz, i tak już nadto zabobonny, i tak już za mało w sobie samym szukający ratunku, a zanadto w siłach jakichś nadziemskich, których nie pojmuje, ale zabobonnie tylko i ślepo w nie wierzy. Lud ten jeszcze dziś swojej własnej nie pojmuje ojczyzny, a wy mu wskazujecie jakąś ojczyznę rzymską, ją stawiając po nad wszystkiem innem. Jego nauczyć trzeba jak ma żyć, by to życie było moralnem i dla dobra ogółu spędzonem — a wy mu wskazujecie ideały w życiu klasztornem! Tą drogą nie do oświaty dójdziemy, lecz do ogłupienia.

Tygodnik Niedzielny, wychodzący jak dodatek do *Gazety Narodowej*, zanadto jest pismem politycznem i agitacyjnem, by zaważył na szali oświaty ludu.

Dzwonek jeden z ludowych pism lwowskich, wytknął sobie zdrowy kierunek. Jest on prawdziwie religijnym, ale to nie owa klasztorna religijność *Chaty*, lecz pojęta w najwłaściwszym, bo moralnym kierunku. Obok powiastek, dających rozrywkę z nauką, i zachęcających do czytania, podaje liczne artykuły ze świata przyrody, w zastósowaniu do życia, opowieści historyczne, szczególnie z dziejów ojczystych, rady gospodarcze, wierszyki wcale udatne, treści religijnej, historycznej, moralnej i t. p. Jeżeli *Dzwonek* wytrwa w tym kierunku, jeżeli go dalej konsekwentnie rozszerzy, podając rzeczy z życia gminnego i autonomicznego i wskazówki tych urządzeń, będzie on kompletną encyklopedją dla ludu, zawierającą wszystko, co włościanom potrzebne. W wykonaniu nie jedną usterkę możnaby wykazać, nie jeden artykuł, który mógł był inaczej wypaść, ale wyborny kierunek pisma równoważy zupełnie te usterki, które zresztą są bardzo do wytłumaczenia, gdy zważymy, że pismo to nie ma żadnych wysokich i dostojnych protektorów, ale utrzymuje się jedynie wysiłkami dzisiejszego wydawcy, a prezesa lwowskiego oddziału Towarzystwa Oświaty ludowej, pana Stanisława Justjana. Niech kraj cały, niech szczególnie wszelkie Stowarzyszenia, oświatę mające na celu, niech wreszcie dzisiejsze nadzory szkolne, które z kar pieniężnych za nieposyłanie dzieci do szkoły mogą zasilać biblioteczki szkolne — niech, mówie, energicznie poprą to pismo, ze wszech miar na to zasługujące, a wtedy redakcja będzie mogla ustrzedz się usterek nieuniknionych w piśmie, które nie ma funduszów na honorowanie artykułów.

Krakowskie pisma *Zagroda* i *Włościanin*, prowadzone są także w bardzo dobrym kierunku, chociaż z mniejszym niż *Dzwonek* talentem.

Młodemu Przyjacielowi

na pożegnanie.

W świat idziesz, mój Olesiu, po mądrość i chwałę,
Krzepiąc błogą nadzieją serce rozbolałe,
Coś je wysiłkiem woli od słodkiej ponęty
Oderwał, aby spełnić obowiązek święty.
Tak mi właśnie! z tem pięknie ci, młody poeto!
Tak młodości, tak duszy podniosłej przystoi!
Biada temu, kto walki sam z sobą się boi,

*

I żadną w nią się nie da zaciągnąć podnietą.
Biada temu, kto w cudnej swego życia wiośnie,
Marzy tylko i tęskni, i kwili żałośnie,
Lub się miota w bezmyślnej, szalonej rozpaczy,
Że mu jakieś tam dziewczę chętnem być nie raczy.

Bolałem, gdym cię widział w fatalnym obłędzie,
Bo mi bliski i drogi każdy z polskiej młodzi,
Bo mi w każdym o dobro mej ojczyzny chodzi;
Ty zaś stałeś w najbliższych i najdroższych rzędzie,
Bom ja ciebie za syna w duchu przybrał sobie,
I słodko roił, ufał, i był pewnym prawie,
Że mi będziesz pociechą w ciężkiej mej żałobie,
Że przez cię moją wiarę w ludzkie serce zbawię.

Bogu dzięki! roiłem, ufałem nie marnie!
Po chwilowej słabości znów mi silnyś przecie,
I silny, i zwycięski — zwycięski ofiarnie.
Więc z radością i chlubą, jak najmilsze dziecię,
Witam cię mój waleczny, młody bohaterze,
I do piersi swych tulę gorąco a szczerze,
I część lubych swych marzeń przez cię widząc w jawie,
Z ojcowską cię miłością za to błogosławię:
Byś mi zawsze był mężny, w dobrej woli stały,
Żarliwy i wytrwały w zaszczytnym zawodzie,
I przez pracę, chociażby o chłodzie i głodzie,
Zdołał ziścić młodzieńcze, święte ideały!
Byś zachował na zawsze serce czyste, prawe,
Kochające, lecz wolne od zdradzieckiej złudy,
I obyś z swą bogdanką spotkał się nie wprzódy,
Aż już zdobędziesz mądrość i poczciwą sławę,
Aż będziesz mógł jej w hołdzie ofiarować wreszcie
Nie łzy i jęki choćby w najpiękniejszym rymie,
Ale chlubnym wawrzynem otoczone imię,
Co winno być najdroższem godnej czci niewieście.

Spieszże więc w imię Boże do pracy, do czynu!
Bogu zlecam cię — w duszy mam przeczucie wieszcze,
Że z Nim cel swój osięgniesz, i z tem cię mój synu
Żegnam, i błogosławię najrzewniej raz jeszcze.

Adam Plug.

Kamieniec Podolski, 12. Sierpnia 1870 r.

Ołomuniec

Wspomnienie z lat 1864 i 65

przez

Tadeusza Romanowicza.

(Ciąg dalszy).

Życie płynęło nam bardzo jednostajnie, ujęte w karby tak zwanej Hausordnung, t. j. domowego porządku. Rano zazwyczaj wtedy, gdyśmy się ubierali, kapitan komendy, który był bezpośrednim naszym przełożonym, chodził po cichu, żeby go nie słyszano, po całym korytarzu, i przez szybki we drzwiach umieszczone zaglądał, co się też w kaźniach dzieje. Nieraz można było, chodząc po kazamacie, nagle ujrzeć twarz kapitana, który wstydził się widać swego rzemiosła, bo co rychlej od drzwi umykał.

Porządek w kazamatach musieliśmy sami utrzymywać, a prócz czyszczenia butów, noszenia wody i drzewa, samiśmy sobie usługiwali, żadnej bowiem innej nie dawano nam usługi. Podzieliliśmy więc gospodarstwo między siebie: jeden zamiatał i palił w piecu, drugi nastawiał samowar do kawy i herbaty, trzeci robił herbatę i mył naczynie. Każdy więzień dostawał tabliczkę, na której rano zapisywał, czego mu z miasta potrzeba, i oddawał profosowi, a po obiedzie otrzymywaliśmy zakupno z rachunkiem. Że nas profos zdzierał przy tej sposobności, rzecz naturalna — to jego rzemiosło. Dodam tutaj, iż wysoki skarb dawał każdemu z nas 28 centów dziennie, i z tego potrzeba było żyć, później dopiero z innemi ulżeniami przyszło zezwolenie, by każdy z własnej kieszeni wydawał 30 guldenów miesięcznie.

Około godziny 9tej wypuszczano nas na spacer, który już opisałem. Przechadzka trwała w zimie godzinę, półtory godziny w lecie. Po upływie tego terminu komenderował profos: *einrücken!* i pędzono nas napowrót do kazamat, i zamykano. O 12tej przynoszono nam obiad. Profos miał monopol zdzierania nas za obiady, — które gotowała jego magnifika, — a były one drogie i tak obydne, żeśmy je nieraz odchorować musieli. Daremnie przypuszczaliśmy kilkakrotnie szturm do komendy, ażeby nam pozwolono brać obiad z miasta, przedstawiając, że nas trują tem jedzeniem — profos utrzymał się przy monopolu i z tryumfującą miną komunikował nam odnośne rozporządzenie komendy.

Po obiedzie o 3ciej godzinie znowu spacer. Urozmaicaliśmy go sobie, jak tylko się dało — a dokazywali czasem jak dzieci, zmuszając się do wesołości tak sprzecznej z tem, co się w sercach naszych działo, a jednak tak bardzo potrzebnej dla chwilowego rozerwania się. Więc kasztan, rosnący w miejscu naszej przechadzki, służył nam do różnych ćwiczeń gimnastycznych — wyprosiliśmy sobie, że nam pozwolono mieć piłkę, która dawała ruch bardzo zdrowiu potrzebny, — skakali jeden przez drugiego — w zimie zrobiliśmy sobie ślizgawkę i biliśmy się kulami ze śniegu — urządzaliśmy różne gry i zabawy, śpiewali chórem i t. p. Wiele zabawy mieliśmy z poczciwym Włochem, z którym rozmawialiśmy z francuzka po łacinie, a który starał się nauczyć różnych słów polskich, wymawiając je w najkomiczniejszy sposób. Szczególnie Włoch się zżymał, gdy zobaczył co czarno-żółtego, więc mu się nieraz przypinało szmatki lub papiery tej barwy, a Włoch skakał jakby za ukąszeniem gadziny.

Co soboty po obiedzie odbywało się uroczyste golenie, — „Hausordnung“ bowiem wymagała, żeby brody były zgolone. Faworytom jeszcze przepuszczano, ale dla bród nie było pardonu, chyba że lekarz ze względów zdrowia uznał za stosowne, by zezwolono komu nie golić

brody. Jeden z kolegów zażartował sobie z komendy, i w piśmie długiem — a wszystkie pisma do komendy podawaliśmy na tabliczkach — dowodził, że golenie brody na żołądek mu szkodzi, bo porost brody się wzmaga, i siły żywotne zamiast pomagać żołądkowi, wysilają się na brodę. Kpiny wzięto w komendzie na serjo, i darowano życie brodzie petenta. Otóż co soboty po południu wypuszczano nas po trzech razem do kancelarji. Tam były ustawione trzy krzesła frontem do kapitana, który z wielką powagą siedział przy biórku, witał każdego swojem nieznośnem: *Servus!* i przypatrywał się operacji. Obok niego profos wyciągnięty jak struna, i nie spuszczający nas z oka. Operowali nas malczyki, którzy dopiero na nas golić się uczyli — jeden brudną ręką i śmierdzącym mydłem wysmarowywał wszystkie brody, drugi nielitościwie skrobał tępą brzytwą. Trudno było wstrzymać się od śmiechu widząc arcyurzędową minę kapitana, który sam własnoręcznie zapisywał do księgi: „Der Sträfling“ N. N. został ogolony. Przypominało mi się nieraz, co opowiadał Jan Zacharjasiewicz ze swego więzienia na Spielbergu: Przybył tam jako 16-letni chłopak — a że i tam golono, więc i jego posadzili na krześle. Daremnie dowodził naocznie, że nie ma co golić, że ani jeden włosek jeszcze mu się nie wykłuł na twarzy — golono biedaka przemocą. Po dalszych jednak przedstawieniach uznano, że nie ma co skrobać — komenda więc orzekła, że od golenia się odstępuje, ale dla utrzymania porządku domowego musi z innemi usiąść i dać się namydlić, poczem bez skrobania wolno mu się umyć. Regulamin przedewszystkiem — *Pereat mundus:* porządek domowy zachowanym być musi!

W niedzielę rano można było iść na mszę do kaplicy. Był to brudny pokoik zakratowany, w nim brudniejszy jeszcze ołtarz — a mszę odprawiał ksiądz, który gdy mówił *Dominus vobiscum*, zdawało się, że komenderuje bataljonem.

Z początku nie dawano nam książek, ani przyborów do pisania, prócz owych tabliczek. Każdy przywiózł ze sobą książki — ale te zostały w kuferkach zamkniętych osobno, i nie było nawet możności wykradzenia ich przy wyjmowaniu bielizny, bo profos dobrze pilnował. Bez książki życie więźnia jest bardzo głupiem. Myśli wiecznie w jednem toczą się kole — rozmowa około jednego się obraca przedmiotu, a tym jest nadzieja uwolnienia i powrotu do kraju, do wszystkich ukochanych. Nadzieja ta nigdy więźnia nie opuszcza, a choć inni twierdzą, że ona jest miłą — mnie się zdaje, iż właśnie przeciwnie zatruwa każdą chwilę. Oddasz się pięknemu marzeniu o swobodzie — a tu naga rzeczywistość w każdej chwili tak bolesne przedstawia obrazy. Żywisz w sercu nadzieję — każde niespodziewane zjawienie się którego ze stróżów więzienia, każde otwarcie drzwi od twej kazni o porze niezwykłej, przywodzi na myśl: może idą nas uwolnić — i za każdym razem tylko tem boleśniejszego doznajesz zawodu. A do tego jeszcze okropna myśl o doli kraju, zasianego świeżemi mogiłami, sterczącego lasem nowych szubienic, osieroconego po stracie lub wygnaniu najlepszych swych dzieci — zdanego na pastwę rozbestwionej dziczy! Jeżeli w czasach normalnie rozwijającej się pracy narodowej, bolesnem jest więzienie — to okropniejszem ono po upadku wielkiego ruchu, który tyle klęsk spowadził i nieszczęść, okropniejszem wtedy, kiedy więzień wie o tem, że kraj z konieczności popaść musiał w zwątpienie, apatję, reakcję, że praca nie idzie naprzód, ale staje na miejscu — a wszelka stagnacja jest cofaniem się wstecz. Dodajmyż do tego niepokój o rodziny, z któremi tylko raz na trzy miesiące, a później raz na sześć tygodni wolno było korespondować — a zrozumiemy, iż myśli więźniów, nie zasilane żadnym pokarmem książkowym, musiały w jednem kółku krążyć, osłabnąć musiały i zleniwieć. W końcu czuje się, że się zaczyna... mówiąc grzecznie: głupieć — bo inaczej też być nie może. Więc chyba na tabliczkach pisało się cokolwiek lub rysowało, by potem zmazać — albo gdy ukradkiem dostało się karty, trzeba było niemi się rozrywać, podsłuchując zawsze, czy też nie nachodzi profos lub ktokolwiek inny.

Po kilku tygodniach takiego więzienia zawołano nas do kancelarji. Zastaliśmy kapitana z bardzo słodziutką i uśmiechniętą minką.

— Mam *wam* (pan kapitan bowiem mówił do nas per *Ihr*, *Euch* i t. p.) — miłą udzielić wiadomość.

Wstęp zapowiadał wiele. Wyobraźnia więźnia taką „miłą wiadomość“ tłumaczy zaraz jak najlepiej. Nie jeden pomyślał, że nas już puszczają. Stało się jednak inaczej. Kapitan ogłosił, że pozwolono nam czytać książki, które przejdą przez cenzurę komendy, pisać w kaźniach, palić tytoń, pić codzień albo halbę piwa albo seidlik wina, wydawać ze swych pieniędzy 30 guldenów na miesiąc, wreszcie, że kazano nam zdjąć kajdany. Dodał oczywiście zwykłe w takich razach kazanie, jak powinniśmy cenić tę wysoką łaskę i być za nią wdzięczni — i kazał wracać do kaźni.

Dobrze i to! pomyśleliśmy — choć prawie każdy wracał zawiedzony. Za kilka dni tedy dano nam ksiąki, robiąc z tem jednak wielkie trudności. Nie chciano więcej jak po jednej książce dawać, przetrzymywano tygodniami całemi w komendzie i t. p. Sąd komendy o książkach był czasem zabawny. I tak przysłano któremuś z nas Monumenta Bielowskiego. Trzymano je kilka tygodni w komendzie. Że jednak w Monumentach jest bardzo wiele rzeczy po łacinie, po grecku, rusku, a nawet i hebrejsku, z czego biedna komenda ani słówka nie rozumiała, więc powiedziano nam, że tej książki nie dostaniemy, bojąc się zapewne, że to coś niebezpie-

cznego. Zredagowaliśmy więc zaraz na tabliczce rekurs przeciw temu, podnosząc między innemi, że w książce tej są także rzeczy pisane przez świętych (list św. Brunona) więc oczywiście nic złego tam być nie może. Argument ten trafił snać do przekonania komendy, i zdjęto klątwę z Bielowskiego. Gorzej było z ostatnią książką Szajnochy: Dwa lata z dziejów Polski. Pomimo wszelkich przedstawień dać nam jej nie chciano, a profos zapytany o przyczynę odpowiedział: nie można, bo tam ciągle pisze o wojnie i o kozakach. Biedna komenda! bała się kozaków w książce Szajnochy, a ledwie w półtora roku później gorszych kozaków, bo w pikelhaubach widziała uwijających się niedaleko od murów fortecy.

Korespondencje z rodzinami utrudniano nam bardzo. Z początku raz na trzy miesiące, później raz na sześć tygodni można było pisać i odbierać listy — za każdym razem trzeba było osobno o to prosić. Wolno było pisać do jednej tylko osoby — później i w tem nam ulżono. Listy musiały być pisane po niemiecku, listy polskie bowiem całemi miesiącami leżały w komendzie, zanim je przetłumaczono i oddano. A nieraz zdarzyło się, że listu nie wydano, bo się w nim coś komendzie nie podobało — albo zamazywano w nim całe stronnice. Ale od czegoż spryt więźnia? Największa nawet czujność władz nie zapobieże potajemnemu pisaniu listów — urządziliśmy więc sobie pocztę, która fukcjonowała bardzo regularnie, ale drogo nas kosztowała. Ileż radości sprawiał nam każdy list z kraju! Chwytaliśmy każde słówko, z którego można było jakikolwiek wyprowadzić wniosek o stanie kraju i usposobieniu jego — toż każdy list był tematem do długich rozmów i rozmyślań, których treścią zawsze sprawa ojczysta — i rodzina. Zresztą od chwili, gdy nam pozwolono mieć książki, jakby nowe życie w nas wstąpiło — całe koło nasze było jakoby towarzystwem literackim — każdy bowiem czytał dużo, pisał i tłumaczył, udzielaliśmy sobie wzajemnie myśli naszych i wrażeń, uczyli się nieznanych jeszcze języków, słowem żyliśmy przeważnie życiem umysłowym. Grono nasze wzmagało się z każdym miesiącem — prócz wymienionych wyżej przybyli jeszcze: Bernaczek Ludwik, Bogdanowicz Józef i Tarnowski Stanisław (obecnie profesor literatury w uniwersytecie jagelońskim) z więzienia lwowskiego, a Szczepański Alfred, Aleksandrowicz Adolf, Korytko Walery, Lisiecki i Niemojewski z Krakowa. W marcu zaś przybyli Węgrzy skazani za spisek kossutowski odkryty w r. 1864: Almassy Paweł, jeden prezydentów izby peszteńskiej r. 1848 — Beniczky Ludwik, pułkownik honwedów, który był później prezesem stowarzyszenia honwedów, i znikł w sposób dotąd niewytłumaczony — Nedeczky Stefan Deaka siostrzeniec — pułkownik Zambelly Ludwik, ożeniony z Polką i dobrze po polsku mówiący — Clementis, wyższy oficer sztabu z r. 1849, poeta Szelastay, który wydał był zbiorek ładnych poezyj węgierskich o Polsce, Plachy, słowak, poseł sejmowy, Gaspar i Leżak z Siedmiogrodu. (C. d. n.)

TAJEMNICE
pałacu carów.

Rozdział VII.
Natasza.

(Ciąg dalszy.)

Przyszedłszy do siebie, Saweljew znalazł się w chatce starego dymisjonowanego żołnierza; tuż obok niego stała jasnowłosa dziewczyna, która podała mu była mleko. Ale jak tylko otworzył oczy, wyszła.

Znowu powracał do sił zbieg z Kaukazu, starannie doglądany przez żołnierza i dziewczynę. Po kilku dniach tyle już sił odzyskał, iż mógł puścić się w dalszą podróż.

Pożegnał więc swych gospodarzy. Stary żołnierz nietylko nie przyjął od Saweljewa żadnego wynagrodzenia, ale zmusił go jeszcze do przyjęcia chleba i wódki na drogę.

Uszedłszy około ćwierci mili, usiadł na kamieniu przy drodze, aby wypocząć nieco i raz jeszcze spojrzeć na wieś, gdzie jednocześnie prawie doznał tak gościnnego i niegościnnego przyjęcia.

Po chwili uczuł, iż go ktoś trąca w ramię. Obejrzał się.

Przed nim stała młoda jasnowłosa dziewczyna. Wybiegła ona z chatki starego żołnierza i ścieżką przez las dopędziła Sawaljewa. Była mocno wzruszona i zapłakana.

— Słuchaj służba, rzekła, muszę koniecznie rozmówić się z tobą nim odejdziesz do Petersburga; cała moja przyszłość, życie moje zależy od tego.

Żołnierz spojrzał na nią zdziwiony, ale dziewczyna, nie zważając na to, mówiła dalej:

— Chodźmy ztąd; tu mogą nas podsłuchać; znam ztąd niedaleko jedno miejsce, gdzie będziemy bezpieczniejsi.

I poprowadziła go gęstym lasem na niewielką łąkę. Stanąwszy tam, zapytała:

— Wszak prawda, służba, że w Petersburgu będziesz mówić z carem? Słyszałam, że wy, żołnierze, często rozmawiacie z carem. Chcę cię zatem prosić, byś przy sposobności powiedział mu parę słów o biednej Nataszy. Widzisz, służba, żem ubrana jak wieśniaczka; wszakże nie jestem nią. Matka moja, Francuzka, była guwernantką przy dzieciach właściciela naszej wsi i umarła wydając mnie na świat. Dopóki stary pan żył, wychowywano mnie na dworze, jak pańskie dziecko; ale gdym doszła do lat siedmnastu, umarł. Wtedy objął

majątek jego syn, oficer, wypędzony ze służby za jakieś szachrajki, który nigdy przedtem u ojca nie bywał. Ten przybywszy do wsi, począł wyrabiać z wieśniakami awantury i dokuczać dziewczętom, znajdującym się we dworze. Mnie ani na jedną chwilę nie pozostawił w spokoju; a gdym na jego oświadczyny miłosne odpowiadała ciągle pogardą tylko, wypędził w końcu z domu. Znalazłam przytułek u starego żołnierza, w którego chacie leżałeś chory. Ale i tam nie byłam bezpieczną. Na szczęście moje, gwałty, jakich nowy pan dopuszczał się, przebrały miarę; wdała się w to władza i kazano mu wyjechać z majątku, wzbroniwszy tam powracać. Sądziłam wtedy, iż już będę spokojną i poczęłam godzić się poniekąd z moją biedną dolą. Gdy oto właśnie w dniu, w którym przybywszy do naszej wsi padłeś ze znużenia na ziemię straciwszy zmysły, nadeszła z miasta wiadomość, że młody pan potrafił uniewinnić się przed władzą i pozwolono mu wrócić do majątku. Nie dość na tem; wczoraj rządca jego oznajmił mi, iż wolą jest dziedzica, bym bezzwłocznie przeniosła się do dworu, aby on mnie już tam znalazł. gdy przybędzie. Struchlałam usłyszawszy to. Sama jedna, bez opieki, bezsilna, nie mogłam powiedzieć, że nie usłucham tego rozkazu; ale w duszy postanowiłam sobie, że raczej życie utracę, aniżeli miałabym się oddawać w moc tego ohydnego człowieka. Przez całą noc nie zmrużyłam oka, rozmyślając nad tem, jak tu sobie poradzić... i jeden tylko środek znalazłam. Ty, służba, idziesz do Petersburga — weź mnie z sobą! Jak obaczysz cara, opowiesz mu, że jestem sierota, nieszczęśliwa — on przecież na to car, by się opiekował takiemi!...

Saweljew po niejakiem wahaniu przystał na to. Poszedł razem z Nataszą do najbliższego miasta, tam obciął jej włosy, przebrał po męsku i oboje powędrowali do stolicy.

Trudna to była podróż i pełna niebezpieczeństw; ale trudności zwiększyły się jeszcze bardziej, gdy stanęli w Petersburgu. Saweljew na każdym kroku obawiał się być poznanym przez któregokolwiek z licznych szpiegów, przytem niewielkie zasoby, jakie posiadali oboje, wyczerpały się rychło. Do cara nie było żadej sposobności dostać się, a tembardziej mówić z nim.

Zrozpaczony Saweljew postanowił w końcu udać się z prośbą o pomoc do tajnego towarzystwa, w którem miał znajomych, a którego przewodniczącym był podówczas znany moskiewski powieściopisarz Dostojewski.

Zabrał więc z sobą Nataszę, zawsze za chłopca przebraną, na posiedzenie spiskowców, odbywające się w piwnicy jednego domu na przedmieściu i tam opowiedział zgromadzonym swoje i dziewczyny przygody.

— Dla siebie o nic was nie proszę, tak kończył swe opowiadanie, przyszedłem tu tylko, by żądać waszej opieki nad tą nieszczęśliwą. Przy mnie ona nie jest bezpieczną; lada dzień mogę być poznany, uwięziony, napowrót do kopalń wysłany — cóż się z nią wtedy stanie?

— Wszystkich nas taki los czeka, odrzekł na to przewodniczący; ale nim to nastąpi, winniśmy sobie dopomagać wzajemnie. Ja mam żonę i dwoje dzieci; wezmę więc Nataszę do mego domu, gdzie zostanie, dopóki twoje położenie nie zmieni się.

Wtem za drzwiami dało się słyszeć trzykrotne krakanie kruka. Był to sygnał zapowiadający niebezpieństwo.

— Gaście światło! zawołał Dostojewski, i uciekajcie kryjówką!

Sam pochwycił Nataszę za rękę i uprowadził znanem sobie tajnem wnijściem.

Był wielki czas, gdyż w parę minut potem wpadło do piwnicy kilkunastu policjantów z latarkami.

Rozdział VIII.

Spuścizna cyganki.

Przy ulicy zwanej Diewiataja Rota (dziewiąta kompania) w Petersburgu, wznosi się długi jednopiątrowy dom, smutnej powierzchowności, zamieszkały przez najuboższą klasę ludności stolicy.

Na dole mieszczą się pracownie drobnych rzemieślników, sklepik, nieodzowny szynk i tym podobne zakłady.

Pokoje pierwszego piętra właściciele wynajmują „kątami,“ gdyż to przynosi im więcej dochodu. W lokalu takim, w każdym z czterech kątów, mieści się łóżko, a tuż przy nim niewielki sosnowy stolik. Dwa te sprzęty stanowią jedyne umeblowanie „kąta.“ Ruchomości swe, jeżeli je mają, lokatorowie składają pod łóżkiem.

Na jednem łóżku siedzi znajomy nam żołnierz Saweljew, wnuk cyganki z Bolota i wsparłszy głowę na ręku, myśli głęboko.

Dziś jest on swobodniejszy aniżeli kiedykolwiek, gdyż jutro dzień św. Mikołaja, święto podwójnie uroczyste w Moskwie: raz, jako dzień patrona kraju, powtóre, jako imieniny carskie. Wszyscy zatem mieszkańcy „kątów“ porozchodzili się i dopiero późno w nocy powrócą, pijani.

Po niejakiej chwili Saweljew nachylił się i wysunął z pod łóżka drewnianą skrzynkę, a z niej wyjął niewielkie pudełko dane mu przez cygankę.

Aż dotąd nie miał on możności przekonania się, co w niej się znajduje; obawiał się bowiem niedyskrecji swych sąsiadów.

Otworzył je i spojrzał w wnętrze. Było tam mnóstwo najrozmaitszych przedmiotów: półimperjały starannie w papier poobwijane, pierścionki i drobnostki

niewielkiej wartości, kilka klejnotów wcale cennych, brylantami zdobnych, a przytem kartki z podpisami znakomitych dygnitarzy Moskwy.

Oczy żołnierza szybko przebiegły po tych podpisach, nie mających dla niego żadnej wagi. Potem odłożył wszystkie kartki na stronę. Ucieszyły go tylko pieniądze i klejnoty, gdyż jedne i drugie mogły przydać się Nataszy. Schował je zatem do kieszeni.

Już miał zaniechać przeglądu, gdy wtem, na samym dnie pudełka, dostrzegł pakiet, czarną tasiemką obwiązany, z napisem: *Synowi mojej córki.* Rozwinął i wewnątrz znalazł notatki i listy zżółkłe od czasu. Począł czytać obojętnie.

Ale im dłużej rozglądał ta papiery, tem bardziej wzmagała się jego ciekawość.

Były to wszakże tylko krótkie listy i notaty. Jedne, dawniejsze widocznie, które omal że mu nie rozsypywały się w rękach, miały podpis: „Rylejew.“

Były to listy z więzienia. W jednym z nich przeczytał:

„Żegnam cię, biedna zwiedziona żono! Sądziłaś, że uratujesz męża, a tymczasem przyczyniłaś się mimowolnie do tego, że on zgubił swych towarzyszy i sam zginie. Nie mamy syna, którybv się zemścił za nas; ale jeżeli córka nasza, Anna, będzie miała dzieci, to zemsta za nas powinna być najświętszym ich obowiązkiem. Ja przebaczam temu, kto mnie skazał na śmierć; ale śmierci moich towarzyszy przebaczyć nie mogę. Módl się za mnie!“

Inny papier był to dokument udowadniający, że 19. listopada 1839 roku przyniesiono do domu podrzutków dziecię płci męzkiej z oświadczeniem, iż nazywa się Jan Saweljew.

Dalej znajdował się w tym zbiorze wycinek z gazety zawierający wyrok sądu wojennego, na mocy którego oficer gwardji litewskiego pułku Jan Saweljew, za należenie do spisku Pietraszewskiego zostaje zdegradowany i skazany na dziesięć lat do ciężkich robót w kopalniach, po upływie tego terminu ma pozostać na całe życie na osiedleniu na Syberji.

Były tam także małe świstki, zawierające po kilka tylko wyrazów, jak naprzykład:

„Dziś przyjść nie mogę.“

Albo:

„Czekaj na mnie o jedynastej.“

Kartki te nosiły podpis cara Mikołaja. Jedna tylko z nich była nieco dłuższa:

„Mówisz kochana przyjaciółko,“ pisał car, „że dziecię nasze, był to chłopczyk... Ale cóż się z nim stało? Niepodobna, byś nie wiedziała o tem. Pomyśl, że idzie tu o jego przyszłość. Ale nie! ty nic nie wiesz!... Wiem, że nie jesteś zdolną do kłamstwa... W każdym razie nie pojmuję zniknięcia chłopca. Któż go mógł porwać? w jakim celu? Kazałem go szukać; ale nie chcę, by to się działo jawnie. Ty także rób co możesz. Dopomóż mi do wynalezienia jego lub lekarki, która go porwała.“

Był jeszcze jeden list, bardzo nieczytelny, treści następującej:

„Anno! córko droga! Ty, którą świat teraz zasypuje kwiatami pod imieniem Marji Asenkowej! Twój syn żyje, znajduje się w domu podrzutków, gdzie zapisany jest pod nr. 2137, pod nazwiskiem Jan Saweljew Pamiętaj o tem, iż ojciec twój przekazał mu zemstę za nas.“

W końcu znajdował się list pisany widocznie drżącą kobiecą ręką:

„Synu mój! jeśli pismo to dostaniesz kiedy do twoich rąk, to pamiętaj o tem, iż zmarli nie potrzebują mścicieli. Za kilka godzin stanę sama przed tronem Boga i w tej dopiero chwili dowiaduję się, że żyjesz. Mogłabym zapewnić ci świetną przyszłość, ale wolę, byś został Janem Saweljewem. Tym sposobem będziesz bezpieczniejszy, aniżeli, gdybyś się wychował w świecie, jako poboczny syn carski. Żegnam cię, mój synu! Matka twoja błogosławiąc cię, zaleca ci przebaczenie, a nie zamstę.“

Łatwo domyśleć się jakiem zdumieniem zdjęty był młody żołnierz, przeczytawszy te papiery. (C. d. n.)

Odczyty naukowo - literackie
Towarzystwa „Proświty.“

W pierwszym odczycie, a ma nastąpić ich kilka, przyjęło udział dwóch prelegentów: Paulin Święcicki i Mikołaj Ustjanowicz.

Pan Święcicki w odczycie swym dał ogólny pogląd na chwilę odrodzenia się i rozwój literatury ruskiej aż od chwili obecnej.

Rewolucje francuskie, ogłosiwszy prawa człowieka, podniosły w uznaniu powszechnem znaczenie ludu, którym dotąd poniewierano. Pierwszy, który zwrócił naszą literaturę ku pierwiastkowi ludowemu, Zorjan Dołęga Chodakowski (Adam Czarnocki), pierwszy też położył kamień węgielny przy odbudowaniu literatury ruskiej. Kamieniem tym węgielnym były pieśni ruskie, które zebrał Czarnocki, a które po jego śmierci wydał Maksymowicz. Wpływ tych pieśni był potężny na rozbudzenie ducha ruskiego, i niezawodnie przypisać mu należy w znacznej części wysoki polot dwóch naszych wieszczów: Seweryna Goszczyńskiego i Bohdana Zaleskiego. Ale co do Słowackiego, to prelegent, podług naszego przekonania, zupełnie się pomylił, wydając go za dziecko z ducha Rusi. Słowacki na Rusi tylko się urodził i kilka lat tam bawił; należy on właściwiej do Litwy, która go wykarmiła, wypieściła, wycho-

wała, otoczyła przyjaźnią, i na Litwie to serce jego drgnęło pierwszą miłością, której głęboki ślad pozostał mu przez całe życie. Na Juljuszu przytem wpływ ludowej poezji najmniej się odbił. Indywidualizm dumny, gardzący tłumem, przegląda w pierwszych utworach Słowackiego, i dla tego to, pomimo potężnego jego genjuszu, przez długi czas naród obojętnością mu się wypłacał. Śliczny, melodyjny język pieśni ruskich, z pięknością których nie mogą współzawodniczyć pieśni innych plemion słowiańskich, zachęcił młodych poetów, a zwłaszcza na Rusi zadnieprskiej, do próbowania swych sił w tym języku. Pojawiło się tam kilku poetów, ale pomiędzy nimi wszystkimi górował zdolnością poetycką Hulak Artemowski, który stanął w obronie praw ludu, a bajka jego napisana w tym duchu, p. t. „Pan i Pies“ (pan i sobaka), stała się powszechnie znaną. Na prawem wybrzeżu Dniepru uderzył w lutnię ruską Tomasz Padura. Rusini zadnieprscy, a za ich przykładem i nasz prelegent, niechętnie odzywają się o Padurze. Tymczasem podobno wcale inaczej osądził to sam lud ukraiński z prawego brzegu Dniepru, i „cała Ukraina,“ powiada Olizarowski, „dziś dumkami brzmi Padury.“ Najwyższą potęgą poetycką Rusi, jest Taras Szewczenko. Genjusz tego lirnika ludowego dał poznać publiczności polskiej jeden ze zdolniejszych naówczas naszych poetów Leonard Sowiński, którego przekład „Najemnicy“ niedawno wyszedł z druku nakładem wydawnictwa „Mrówki.“ Prelegent postawił Szewczenkę wyżej od Bajrona, Goetego, Słowackiego, a to z tej zasady, że Bajrona rozumieją dwa miljony Anglików, Goetego rozumie miljon Niemców, Słowackiego rozumie co najwyżej 500.000 Polaków (dodajmy od siebie, że i to za wielką liczba), a Szewczenkę rozumie i ceni 15 miljonów Rusinów. Dziwi nas mocno, że prelegent nie spostrzegł, jak fałszywą jest jego zasada. Jedyna miara, jaką można stósować do każdej potęgi duchowej, jest jej treść, jest myśl wypowiedziana przez nią. A im podnioślejszą jest ta myśl, tem do zrozumiena jej potrzeba wyższego wykształcenia. Ewangelja, ta szczytna księga, napisana z taką prostotą, znalazła nasamprzód uznanie u narodów stojących najwyżej pod względem cywilizacji, a nie u barbarzyńców, którzy przyjmowali chrześciaństwo na wiarę, nie zaś pociągnięci urokiem wzniosłej myśli w niem tkwiącej. I dzisiaj widzimy, że większość chrześcian nie rozumie dostatecznie Ewangelji, a przedewszystkiem tego, co stanowi jej istotę, ducha, ponieważ wyznając jej naukę formalną, nie kieruje się wcale w swem życiu jej zasadami. Tem bardziej popularność poety nie może być miarą potęgi jego genjuszu. Mamy naprzykład poetę Karpińskiego, którego pieśni kościelne śpiewa lud od Warty aż poza Dzwinę. A czyż oznaczać to ma, że Karpiński wyższym jest od Słowackiego naprzykład? Pieśni Kolcowa upowszechniły się między ludem moskiewskim, a przecież to nie daje prawa, żebyśmy powiedzieli, że Kolcow wyżej stoi od Puszkina. Możnaby i więcej przytoczyć podobnych przykładów, lecz te wystarczą. Nawet zdarza się, że utwory poetyczne potężnych genjuszów wyprzedzają swoją epokę i przeto nie są ani należycie zrozumiane, ani ocenione w chwili ich pojawienia się. Wysoką wartość arcydzieł Szekspira oceniono dopiero w XIX. stuleciu; a potężny genjusz drugiego poety angielskiego współczesnego Bajronowi, Percy Schelley'a, jeszcze dzisiaj należytego mu uznania nie dostąpił. Początkujących poetów przy tem zdarzeniu zachęcamy poznać się z tym olbrzymim genjuszem, o którym powiedział Scherr w swojej „Historji powszechnej literatury“ (jest polski przekład Michała Gliszczyńskiego), że rozbił się o zbłoconą pospolitość świata, bo rzeczywiście niebieskim gościem był na tej ziemi. „Nigdy żadne ludzkie serce,“ powiada Scherr, „nie połączyło w sobie większego obrzydzenia ku temu wszystkiemu, co jest podłem i złem, z silniejszą miłością ku temu wszystkiemu, co jest szlachetnem i wzniosłem.“ Jeszcze o jednej okoliczności zapomniał prelegent, że Bajrona rozumieją i znają nie tylko dwa miljony Anglików, ale zna go i rozumie jeszcze kilka miljonów europejczyków i amerykanów rozmaitej narodowości. Bajron nie należy wyłącznie do Anglików, jest to poeta całej ludzkości. A jak wypada oceniać znakomitych wieszczów ze względu na ducha ich utworów, może nam służyć za wzór znakomita rozprawa George Sand'a o stanowisku poetyckiem Bajrona, Goetego i Mickiewicza. Przytem prelegent, mówiąc, że Szewczenkę rozumie 15 miljonów Rusinów, wysadził się na szumny frazes, który może tylko łatwowiernych olśnić. Nie przeczę, że lud ruski może łatwo zrozumieć swego lirnika, lecz aby zrozumieć jego utwory, trzeba je naprzód poznać. Rzecz zaś wątpliwa, aby pieśni Szewczenki były znane nawet kilku miljonom Rusinów, a to tem bardziej, że język ruski rozpada się na trzy narzecza: białoruskie, małoruskie i czerwonoruskie, jak to przyjmujemy zgodnie z Michałem Wiszniewskim, a znowu i samo narzecze małoruskie, w którem napisane są utwory Szewczenki, dzielą, jak naprzykład Czużbiński, na podrzecza: 1) czyste, 2) zbliżone do polskiego, 3) charkowskie, zbliżone do czerwonoruskiego, a nasiąkłe potrosze moskiewszczyzną i 4) czernihowskie zbliżone do białoruskiego. Zkąd-że więc ta pewność w prelegencie, że przy tych różnicach językowych lud zrozumie wszędzie Szewczenkę? Lud ruski pod względem inteligencji nie stoi wyżej od innych ludów, a wiemy z doświadczenia, jak nie zawsze łatwo dać się mu zrozumieć, jeżeli dobrze nie posiadamy miejscowych zwrotów mowy. — W dziale beletrystyki ruska literatura ma też odznaczający się talent Marka Wowczka (pseudonym Markowiczowej). Cały odczyt pana Święcickiego stanowi ogólny pogląd, trudno więc żądać od niego bliższych szczegółów o obecnym rozwoju literatury ruskiej i jej kierunku. Sądzimy wszakże, że obszerniejszy wykład w kilku odczytach o tym przedmiocie sprawiłby publicz-

ności większe zadowolenie. Piękny styl odczytu pana Święcickiego stanowił nie poślednią jego zaletę.

Pan Mikołaj Ustjanowicz wymownie roztoczył przed słuchaczami obraz rozwoju dziejowego polsko-ruskich plemion pod rządem Piastowiczów i Rurykowiczów. W ogólnym tym poglądzie dłużej cokolwiek się zatrzymał nad dwoma postaciami książąt halickich: Daniela i syna jego Lwa, którego polityka zdradliwa i, jak dziś mówią, utylitarna, nie wyszła ostatecznie na korzyść Rusi, jak to słusznie zauważał prelegent. *B L.*

Z wystawy dzieł sztuki

urządzonej przez

TOWARZYSTWO PRZYJ. SZTUK PIĘKNYCH we Lwowie.

III.

„Nędza to zbrodnia, ubóstwo to poczciwość," powiedział Wolter, przewodnik wielkiej epoki, który ludziom dobrze, a z bliska się przypatrzył. Ubóstwo, to poczciwość, która nie wie co to skrytość, a układność — podstęp, a ogłada — udana pokora, a zjadliwość spojrzeń. Prostota, ale nie prostactwo, jej cechą — wesołość rubaszna czasami, ale nie wyuzdana — zakłopotanie w ciężkich chwilach życia, ale nie błyski przewrotności w twarzy. Zdrowie duszy w jędrnych, potężnych członkach, niewymuszoność i naturalność, ale nie cynizm zdemaskowany przemawia też z twarzy przeora w obrazku p. *Leopolskiego*, przedstawiającym trzech Bernardynów, zajętych rozmową w zakrystji.

Z tych trzech postaci widną jest zaledwie twarz jednego przeora, siedzącego w krześle, i nie potrzebujemy widzieć twarzy dwóch innych braciszków, bo domyślasz się, że jaki pasterz, taka owczarnia. Jeden z mnichów, odwrócony plecyma do widza, stoi tuż obok krzesła pochylony nieco, gdy drugi zajęty chwilowo czytaniem przy komodzie zakrystji, na której porozkładane sprzęty kościelne. Tak sprzęty, komody dwie, schowki nad niemi, jak ściany, powała i podłoga zakrystji, jak wreszcie ubior mnichów, słowem wszystko wymalowane najniewdzięczniejszym, najuboższym z kolorów, bo tabaczkowej barwy; a przecież w ubóstwie tem środków, jak w ubóstwie mnichów, ile duszy się mieści, ile półcieni, półświateł w niesłychanej skali przechodów. Rysunek wszędzie mistrzowski, a znowu jakiż ubogi, bo prawie z samych prostych linij złożony; w konturach krzeseł, mnóstwa szuflad u komod, w liniach framugi okna i desek podłogi; a jednak co za bogactwo w układzie, w perspektywie tak trudnej, bo dwu ścian pod kątem się zbiegających; wreszcie w ubiorze samychże mnichów, w habitach pofałdowanych w proste długie składy, albo połamanych sztywnie w zagięciach.

Wielce uzdolniony artysta osobistością swoją, więc i psychiczną stroną swoich utworów, przypominający Leonarda da Vinci, dumny, a drażliwy, wiecznie z siebie nie kontent, wahający się z wykończeniem, a szukający dróg nowych, pozostawiający często ogromne pomysły w kartonach, to znów kapryśnie zmieniający najdoskonalsze ujęcia na wręcz im przeciwne, ekscentryczny, głęboki, uczuciowy, namiętny, a znękany, w zwierciedle duszy swej odbijający te twarze malowideł jego szlachetne, zbolałe i zmięte uczuciem i myślą — tutaj poszedł za tradycją Rembrandta, malując często rubaszną poczciwość w ubożuchnych chatach, bez uganiania się za efektem barw, wzorując życie w jego kontrastach półcieni i światła wszechmocnego wobec najuboższych kolorów; wreszcie w zrozumieniu i zastósowaniu jego poglądu co do rysunku samego, uwydatniając silnie formy pod działaniem światła, roztapiając je i gubiąc w półcieniach. — Sam zresztą temat obrazu tego miły i sympatyczny wielce, bo przypomina ci jeszcze lata chłopięce, kiedy to sercem gorącem kornie modliłeś się i sługiwałeś do mszy Ojcom Bernardynom, albo spowiadałeś się, odbierając chłosty „ogórkowe" u najpoczciwszych, najmilszych Polsce mnichów.

Pan Florjan *Cynk* nadesłał świeżo drugi obraz swój, nadeszły z wystawy wiedeńskiej. Czego nie można powiedzieć, to można wyspiewać, bo muzyka tylko jest w stanie wyrazić bezbrzeżne uczucia lub łzy. I łzami też mówi obraz p. Cynka, łzami Jadwigi i Wilhelma nieszczęsnych kochanków w rozstaniu. Jadwiga klęczącemu z załamanemi rękoma Wilhelmowi swojemu wskazuje na ukrzyżowanego Zbawiciela świata, jakoby mówiąc: oto ten więcej wycierpiał dla ludzi. Twarz jej wybladła pokraśniała rumieńcem szlachetnej dumy poświęcenia, przez łzawe oczy widno wyższej miłości zwycięztwo. Wilhelmowi nic już nie pozostało na świecie, on cały złamany, patrzy w ziemię, jakoby w niej szukał spokoju. — A jak to narysowane! od akcesoriów począwszy, posadzki komnaty i dywanu na niej — do draperji Wilhelma i sukni Jadwigi, powiadamy „narysowano," bo namalowano może troszeczkę za twardo. Czuć wpływ geniusza Matejki, który jak każdy geniusz, tworzy koniecznie szkołę; pomimowoli musisz kochać piękno duchowe, a miłości tej skutkiem poniewolne naśladownictwo, czyli ono na swojem miejscu lub nie. Przebaczy nam także p. Cynk, że mu przytoczymy Raffaela, który dla pewności załomów draperyj, poprzód w kartonach nagiemi kreślił swoje postacie. Pan Cynk zawcześnie maluje draperje wprost, więc zdarza się n. p. że Wilhelmowi brakuje lewego kolana, Jadwiga trochę sztywna, a lewe jej ramię przy osadzie za szczupłe i t. p., widać to nawet w obrazie, przedstawiającym św. Kazimierza w modlitwie, którego piersi nie można się dopatrzeć pod zwisłą draperją, cudownie narysowaną. Są to usterki, których uniknąć można i warto, bo obrazom pana Cynka radzibyśmy nic nie mieć do zarzucenia.

P. *Gersona* z Warszawy, dwa całość idealną stanowiące obrazki, dają nam w dwu scenach streszczone życie dawnej rodziny polskiej. W świetlicy jasnowłosa, miękich regularnych rysów niewiasta, przy kołowrotku siedząca, odwróciła głowę, jakby odpowiadając na zapytania babki, o twarzy przywiędłej, szlachetnej, świadczącej o wielkiej niegdyś piękności, a niezwalanej, niesponiewieranej namiętnościami, nieskamieniałej dewocją, ale dobrej, tkliwej, bo właśnie wydobyła z apteczki lekarstwa, może dla wnuczki maleńkiej, która przyklękła i jakby z obawą, tuli lalkę ku siebie, podnosząc głowę ku matce. W zbrojowni dziad siwowłosy, dziarsko usadowiony, przypatruje się bliznom syna, poniesionym w boju za kraj i wiarę, gdy wnuk tymczasem, nasadziwszy przyłbicę ojca, opadłą mu na oczy, i przypasawszy korda, stąpa z animuszem rycerskim. Nadewszystko skończonym w sobie jest pierwszy obrazek, łagodnością a tęczowaniem barw, więc powietrznością przestrzeni, lubością układu, zaoszczędzeniem barw krzykliwych, niegonieniem za efektem. Za to w zbrojowni zamglenie to kolorytu, chociaż barw więcej męzkich, jaskrawszych, zanadto mdłym go czyni i trąci manierą. Rysunek zresztą wszędzie czysty, ostry, n. p. w muskulaturze syna, ukazującego swe blizny. Razi nas jednak pewna nieprzyzwoitość, polegająca w tem właśnie, że tu nie kształty nagie wymalowane, ale rozebrany mężczyzna.

O zaletach obrazku p. *Pilatego*, przedstawiającego dziewczynkę, wabiącą kapuścianym liściem cielę, (aby je potem po za plecyma ukrytym postronkiem oplątać) wspomniano już tylekrotnie w innych sprawozdaniach, że tutaj chyba na przekorę powiemy, co nam się w nim nie podoba, że ugrupowanie wprost przeciwne temu, jakiegobyśmy sobie indywidualnie życzyli. I tak tył cielęcia paraduje na samym przodzie biały szerścią, ubłogosławiony słońcem, potem dopiero widno głowę cielęcia, wreszcie liść kapuściany, a na samym dopiero ostatku dziewczynka.

Wybornym obrazkiem charakterystycznym jest pana *Kotsisa* Zielna Niedziela. Widzisz tu dziewczynkę może 10letnią, zdrową, pyzatą, krępą, o siwych oczach, a małym nosku, i lnianych rozplecionych włosach, przewiązanych wianuszkiem z bławatów. Przyprowadzili ją tatuś i matusia z pobliskich podbalów do miasteczka na nabożeństwo, dali do ręki jabłuszko i posadzili tymczasem u fary, a kazali zaczekać na księdza proboszcza, ucałować pięknie rączki gdy przyjdą i oddać ziela, sami zaś tymczasem poszli z kumami pokrzepić się troszeczkę. Jagusia też siedzą, a zmęczyli się bardzo chodem, to też czerwoni, iskrzą się oczki, ale twarz przejęta uroczystością chwili i czcią wielką, a oczekiwaniem nadejść mającego księdza plebana. Dodaje jej cokolwiek pewności poczucie, że tak ślicznie ubrali ją matuś, bo w cudny fartuszek, korale i rańtuch, i ziela także snop spory dali do ręki. Z framugi, u której siedzi, widno pyszne tło pejzażowe piętrzących się ścian podgórza w stopniowo blednących tonach grzbietów co raz to wyższych, co raz to jałowszych, aż wreszcie gubiących się w sinawej barwie zwieszonych nad nimi obłoków. Żeby też zwymyślać i na ten obraz, powiedzmy, że stopy dziewczęcia niedostatecznie są obrobione.

A. *Streita* z Wiednia Powrót do rodzinnej zagrody, zrabowanej, spalonej, zaleca się stosownym, posępnym kolorytem odymionych murów, ponurej zieleni i nieba, jako też dobrym rysunkiem, szczególnie obu trochę pospolitych głów męzkich. Szkoda też, że układ obu postaci zbyt teatralnie pozujący, n. p. mężczyzny, siedzącego na gruzach, tak zupełnie, jakby w krześle do fotografowania. Zresztą o wiele zyskałaby scena, gdyby nie była tak pretensjonalnych rozmiarów, a zamknięta w szczuplejszych nieco ramach.

Nie tyle pretensjonalnym, ile mylnym w założeniu, a świadczącym znowu o płytkich studjach dziejowych wobec prac tego rodzaju, jest obrazek pana *Abrahamowicza* z Wiednia, przedstawiający Zygmunta Starego, siedzącego w gotyckiem krześle, a przypatrującego się karmieniu wiewiórki przez dworskiego błazna, gdy obok przystanął młodziuchny paź. Profil szyderczy błazna widny z pod jego kapturka, naprzeciw Zygmunt Stary, pochylony, posiwiały, zdziecinniały nawet; obok młokos, któremu jak to mówią jeszcze mleko pod nosem, równoważy umysłem starego króla. Pomimo że obrazek zaleca się starannością rysunku, i niezłem obrobieniem akcesorjów, jak futrzanego ubrania króla, aksamitów, jedwabi i roztruhana złotego w stylu renesansowym owej epoki, przecież scena razi pewnem sponiewieraniem charakteru Starego Zygmunta, monarchy wielkich cnót politycznych i wielkiego rozumu, który świecił przykładem wszystkim monarchom, gdy odpisał papieżowi, że „nie naszą rzeczą wchodzić w tajniki sumienia i sądzić takowe.“

Prawie naprzeciw siebie jakoby dla porównania, umieszczono p. *Mireckiego* z Krakowa, Polowanie z sokołem i p. *Kopystyńskiego*, Starca żebrzącego, ślepego prowadzonego przez córkę — powtarzamy dla porównania wad i zalet obu wręcz sobie przeciwnych, bo braku dostatecznej znajomości rysunku przy wybornem malowaniu z jednej, jak znowu obok wybornego rysunku — mylnego, niepomiarkowanego użycia jaskrawych barw i przesady w rozmiarach sceny — większych niżeliby na malowidło rodzajowe przystało. Ogólnie malarze ródzajowi powinni pamiętać, że jak realistyczny w gruncie pejzaż a nadewszystko miniatura zyskuje tem właśnie na wdzięku, że pomimo pomniejszenia przedmiotów, więc niejako ich oddalenia, nie traci na żywości barw jakto przeciwnie się dzieje w naturze: tak znowu obraz rodzajowy, dający nam sceny zwykłe z codziennego życia, stwarza piękno na tej kardynalnej zasadzie estetycznej, że umarza pomniejszeniem, usuwa niejako szczegóły, które tyle w życiu codziennem są nudne, chropawe, nie miłe czasem, — na korzyść nurtującej w nich idei ogólnej, strony ich du-

chowej. Za wielkich jest więc rozmiarów obraz p. *Kopystyńskiego* przedstawiający żebraków, koloryt też zbyt żywy, jaskrawy, niespokojny, pstry nawet, jak równie kompozycja cała i układ samychże postaci, podczas gdy z tem ubóstwem zgodniejszy koloryt Ary-Schefferowski na przykład tylkoby podniósł duchową stronę obrazu, poczciwości i zacności starego ślepca, nagrodzonego biedą na starość za żywot uczciwy i pracowity, ale i miłością jedyną, prawdziwą dobrego dziecka, dla którego się tyle troskał w tem życiu a które teraz go nieopuściło, kiedy z pracy ociemniał. Rysunek głowy dziewczęcia wyborny, szczególniej ust skurczonych boleśnie i brwi podniesionych i oczu posowiałych nieszczęściem, toż w twarzy starca n. p. mistrzowsko oddane umyślne przymykanie powiek, by przechodniów zbielałemi oczami nie razić.

P. *Mireckiego* polowanie z sokołem tematem swoim należy że tak powiemy do szkoły archeologicznej. To skutkiem atmosfery Krakowa obumarłego dla teraźniejszości a potężnie żyjącego przeszłością, gdy w malowidłach Warszawy, góruje dramatyczność, zaś u lwowskich artystów przeważa subjektywność-liryzm. W renesansowym stroju na tle baszty zamkowej występują w obrazie p. Mireckiego dwoje dziewcząt w barwach jaskrawych a mile ożywiających wystawę blaskiem trafnie zestawionych barw, bo fioletowej i złotej. Ostatnia w sukni młodej blondynki przez to właśnie wydaje się złoto-fioletowa, znów barwa ubioru brunetki rozłożona w dwu tonach, w niebiesko-fioletowym spodniej sukni i więcej czerwonej sukni powierzchniej; ta zaś podniesiona w blasku swym przez dodanie zielonego powoju. Wszystkie kolory w stosownej mierze do siebie i intenzywności. Wybornie także wymalowany staniczek szlarkowy i jego fałdy, na co zwracamy szczególną uwagę bacząc, jak trudno jest malować płótno, jak tem popisywał się mistrz hiszpanski Zubaran. Wady obrazu leżą wszystkie w rysunku, a najpierw, już w samem tle baszty zamkowej, ktorej brak linij pionowych ścian i framugi okna, a głównie w postaciach obu dziewcząt n. p. fałszywem narysowaniu ramion brunetki nieco ułomnej a pozbawionej pleców, niewykończeniu jej rąk, nadewszystko zaś w twarzy obok stojącej blondynki z przekręconą do góry głową, wydającą się brzydką dla usterek takich jak n. p. zbytnie oddalenie ucha od warg, to znów podniesienie przecięcia poprzecznego oka zamiast opuścić je ku dołowi, jakby to wypadało z nachylenia tej części twarzy. Wreszcie zbyt bufiasty rękaw u jej sukni psuje kompletnie harmonją linij. Trafnie atoli pojął artysta charakter naszych mazowieckich blondynek najczęściej żywych, sangwinicznych, jak równie temperament północny, łagodny słowiańskich szatynek, tak różnych od brunetek południa, o palącem gorączkowem spojrzeniu, o rysach kamey, ujętych w obfite sploty kruczego włosa. Więc chichocze okrutne serduszko jasnowłosego dziewczęcia, chciwie wypatrując ptaszyny na niebie, a boi się dojrzeć go luba wiszenka o aksamitnych oczach i licach brzoskwini.

Stósownych rozmiarów „Jedynaczka“ p. *Schustera*, tuląca, śliczną cichą swą główkę do piersi starego ojca tak rzewnie nas chwyta za serce, że chętnie mu przebaczymy usterki w rysunku n. p. starca siedzącego w postawie zanadto kościanej, i nóg jego jakby poprzyprawianych, widocznie jakby na pamięć robionych, — jakoteż nieudałe próby wymalowania bielizny od kołnierzyka dziewczęcia albo firanki przewieszonej za okno itp.

Ładną też jest myśl w modlitwie Starca żebraka o świcie pośród jałowych gór przynoszącego w darze przed wizerunek męki pańskiej na drzewie — muzykę swoich biednych skrzypeczek. Wszakże utwór ten wykonaniem do najsłabszych należy, razi kolorytem niemiłym, głową starca jakby woskową i przyprawioną do zwieszonego płaszcza wyrysowanego znowu na pamięć a błędnie. (D. n.)

Ze świata muzycznego.

Koncert na dochód Towarzystwa Opieki narodowej, odbył się w sali ratuszowej dnia 10 czerwca, a dość licznie zgromadzona publiczność została znakomicie wynagrodzoną za zwalczenie przeszkód, jakie jej stawiała ulewa, która tak nielitościwie pozbawiła nas najpiękniejszych dni wiosennych. Pani Modrzejewska bowiem biorąc czynny udział w tym koncercie wygłosiła „Agarę na puszczy“ Kornela Ujejskiego z takiem przejęciem, z taką siłą, cieniowała tak po mistrzowsku każde uczucie zbolałego serca matki a w końcu zawołała tak potężne „Jehowa!“ że serca nasze przez długą chwilę czuły z tą matką, i skłaniały się nad omdlałym Ismaelem, a oklaski któremi artystkę przywoływano, tchnęły niejako gorącem tego słońca, pod którego promieniami pani Modrzejewska przez chwilę nas zatrzymała. I dobrze się stało, że zaszła mała zmiana w programie, gdyż głos taki głęboki i silny, musiała mieć Agara a nie Rebeka, którą nam program zapowiadał.

Obok tego całość koncertu tak udana, że do najświetniejszych tegorocznych zaliczonym być może. Uwertura z Euryanty wykonana z precyzją i siłą poprzedziła bardzo miły, czysty i poprawny śpiew tenorowy p. B. Głos ten nie odznacza się siłą, natomiast wysokością, ale przejścia z falsettu do piersiowych tonów tak łatwe i pewne, że słuchający niespostrzegają zupełnie granicy— Solo fortepianowe jakkolwiek z więcej katarynkowych utworów Thalbergowskich, odegrane było przez pannę O. biegle i wdzięcznie, i tem uprosiło przebaczenie nawet u nieprzyjaciół błyskotliwości. — Duet z Don Pasquale będący w programie nie przyszedł do skutku, gdyż nasze księgarnie niezawsze dostarczyć mogą, czego muzykalne dusze zapragną, za to panna Z. odśpiewała Nokturno Cho-

pina i Aryę z Hugenotów. Pannę Z. słyszeliśmy już w kilku koncertach, i podziwiali zawsze wyborną metodę, tudzież deklamację, z której prawdziwe uczucie i zrozumienie przebija. Tym razem do tych zalet dołączyć musimy i siłę głosu, którą p. Z. w tym występie o wiele więcej rozwinęła niż w innych. Wreszcie publiczność usłyszawszy raz jeszcze p. Modrzejewską deklamującą „piękną Jadwigę“ Heinego z towarzystwem muzyki Schumanua — zaczęła się bardzo niedyskretnie wynosić ze sali przed Idealami Liszta. A jednak te Ideały, a raczej, gonitwa za takowemi, były sumiennie wykonane; panny L. i S. wywiązały się z trudnego zadania bardzo świetnie, oktawowe pasaże, gwałtowne rozczarowania i rwania się Lisztowskie, były doskonale pojęte i oddane, to tylko szkoda, że zwykli śmiertelnicy mało na to znajdują współczucia, i choć zasnąć nie mogą, bo utwór za głośny, to ziewając przynajmniej narzekają na muzykę przyszłości — nieprzeczuwając że ona z przeszłości mistrza wysnuta.

Zapiski teatralne.

Gościnne występy p. Heleny Modrzejewskiej.

Halszka z Ostroga, dramat historyczny w pięciu aktach Józefa Szujskiego.

Nie tu miejsce rozpisywać się szczegółowo o dramacie, w którym ujrzeliśmy d. 7. b. m. p. Modrzejewską w roli tytułowej. W czytaniu może jeszcze dramat ten nieźleby się wydawał, jako ładny poemacik, mający wcale powabne ustępy. Na scenie Halszka robi jak najgorsze wrażenie. W czterech pierwszych aktach prawie ściśle, a może i nadto historyczny, w akcie piątym odbiega dramat zupełnie od historyczności, a kończy się — powiedzielibyśmy — prawie konceptem. Bohaterka dramatu, która nie chcąc oddać ręki nienawistnemu sobie człowiekowi, do czego ją matka chce zmusić, wyprowadza z zamku staruszka i pokazuje matce: Oto mój mąż — robi wrażenie prawdziwie komiczne. Motyw tragiczny dziwny — bo ani „przeznaczenie“ dramatów klasycznych, które fatalizmem prowadzi do tragicznego końca — ani też motyw dramatów nowych: charakter i czynności bohatera samego — ale motyw leżący w przysiędze, złożonej na rozkaz matki, złożonej tylko usty, a nie sercem. Taka przysięga ciągle klątwą zawisa nad głową Halszki, i sprowadza na nią niezmierzone nieszczęścia. Rozumiemy fatum klasycznych dramatów, odpowiadające ówczesnej wierze, rozumiemy naturalny motyw tragizmu w czynnościach i charakterze bohatera, rozumielibyśmy wreszcie u pisarza bardzo katolickim duchem przejętego, karę niebios jako taki motyw, ale nie rozumiemy tego motywu, jaki tu został użytym, że w y m u s z o n a przysięga działa jakoby greckie fatum, a pod jej uciskiem bohaterka cierpi niezasłużenie, bez własnej winy. Dodajmy do tego jeszcze, że główna sprawczyni wszystkiego złego, Halszki matka, której duma spowodowała całe nieszczęście, wychodzi z dramatu bez kary, bez ekspiacji (bo niedójście planu do skutku, nie jest żadną karą), a zrozumiemy, dlaczego pomimo znakomitej gry p. Modrzejewskiej, widzowie wyszli z teatru z uczuciem pewnego niesmaku.

Rola tytułowa znakomite przedstawia trudności. Ustawiczna walka między uczuciem a mniemanym obowiązkiem, obrażona duma kobieca, a jednak nie tak silna, by zatarła uczucie, które pod wrażeniem żalu i smutku winowajcy wywołuje najprzód przebaczenie, sercem choć nie usty wypowiedziane, a następnie znowu do dawnej powraca siły i nad obrażoną dumą bierze górę — oto przejścia, które p. Modrzejewska wybornie uwydatniła całym swym obfitym zasobem środków artystycznych. Szczególniej zachwyciła widzów chwila składania przysięgi. Matka każe jej klękać — obie ręce bierze w swoje dłonie — i nakazuje jej zaprzysiądz wieczną, śmiertelną nienawiść ku temu, którego kocha. Tutaj tylko twarz artystki grać mogła; ni ruchu ręki, ni ruchu ciała nie mogła użyć — a przecież na tej twarzy odbiło się każde słowo matki tak silnie, że gdybyśmy słów nie słyszeli, z twarzy p. M. można je było wyczytać.

Pani Linkowska w roli księżnej matki grała bardzo dobrze. Zarzucićby chyba można zbyt jednostajny wyraz twarzy w ciągu całej sztuki. P. Szymański jako Dymitr Sanguszko, był znowu tylko p. Szymańskim, zupełnie jak w Hamlecie i Carlosie. Rolę starego kniazia Wasyla, opiekuna Halszki, dano p. Linkowskiemu, jakby na to, żeby z niej zrobić rolę komiczną. O wiele lepiej byłby ją odegrał p. Baranowski — który z krótkiej roli Zborowskiego wywiązał się wybornie. P. Baranowski ma i tę zaletę, że się doskonale charakteryzuje.

Zrobimy wreszcie uwagę, że głośne krzyki za sceną i zapytywania: co mamy teraz robić? czy śpiewać? czy iść? i t. p. są wcale nie na swojem miejscu i dowodzą wielkiego lekceważenia sztuki ze strony tych, których obowiązkiem dbać o to, by każdy wiedział co i kiedy robić.

A.

Panna mężatka, komedja w trzech aktach Józefa Korzeniowskiego.

Pierwszy to raz w ciągu tegorocznych występów gościnych, ujrzeliśmy panią Modrzejewską w lekkiej komedji. Sztuka wcale nie świetna, wlecze się bardzo powoli, a od początku widzowie wiedzą, jak rzecz się skończyć musi. W jednym akcie byłaby o wiele lepszą.

W roli Cecylji talent p. M. zajaśniał w całym blasku; swoboda, lekkość i naturalność jej gry, były nieporównane, a mimo głębokiego wystudjowania każdego ruchu i tonu każdego, a raczej może właśnie dla tego wystudjowania, wprowadziła artystka widzów w prawdziwe złudzenie za-

chwytu, który wybuchał co chwila grzmotem oklasków, tu właśnie pole było do studjowania dla naszych artystów. Mówią, że komedje na naszej scenie idą wcale dobrze. Trzeba było widzieć p. M. w Cecylji, i porównać jej grę do naszych artystów w podobnych rolach, by uznać, jak nisko stoi nasza scena. Tej swobody i tej elegancji — nie widzieliśmy tutaj nigdy.

P. Szymański rolę Adolfa oddał wcale dobrze. Widać było, iż gra pod wrażeniem Cecylji, o wiele więcej swobody i życia widzieliśmy w nim tym razem, niż kiedykolwiek.

P. Miłaszewski oddał rolę majora ku wielkiemu zadowoleniu — galerji. Był rubasznym — a to było jedyną cechą charakterystyczną, jaką w grze swojej podniósł. Ustępy, w których topnieje ta rubaszność, ta szorstka powłoka zacnego charakteru majora — ustępy te nikły w grze p. M., a najwybitniej występowało to właściwie, co na drug:m planie stanąć było powinno. I rzecz dziwna — chociaż u nas bardzo do wytłumaczenia — że dyrektor teatru daje artystom ten zły przykład, iż każdy ustęp śliski, dwuznaczny w grze swej najsilniej markuje, podnosi go, dosadnym, a często przesadnym ruchem tak, iż owe ustępy właśnie, które na scenach dbających o piękno gry, znikają, przesuwają się prawie niepostrzeżenie, u nas występują najsilniej. Publiczność, której smak zepsuto, rzęsiste za to bije oklaski — a artyści i dyrekcja brną w złem coraz dalej, nie pomni przestrogi Schakspeara, danej przez usta Hamleta, że „śmiech jałowy wielkiej publiczności, nie jest miarą wartości gry.“ *A.*

Donna Diana, komedja w trzech aktach z hiszpańskiego, ułożone na scenę przez Kazim. Kaszewskiego.

Z większem życiem, werwą, z większą elegancją i głębszem pojęciem odegrana, możeby się ta komedja podobała. Kobieta dumna, która wmówiła w siebie, iż kochać nigdy nie będzie, bo wolną chce pozostać, a miłość jest częściową utratą wolności — spotyka człowieka namiętnie ją kochającego, ale w celu pozyskania jej, udającego taką samą dumę, lodowatość, taki sam wstręt do miłości. Obraża ją to, obudza się najprzód kobieca duma upokorzona obojętnością Don Cezara, następnie namiętne pragnienie upokorzenia go i rzucenia do nóg swych — wreszcie miłość, która zapomina o wszelkich dawnych zasadach. To przejście psychologiczne, jest całą treścią sztuki, i mogłaby ona być o wiele lepszą i więcej zajmującą, gdyby rzecz była zamkniętą w dwóch lub jednym akcie. Tak zaś zanadto się rzecz rozwleka, a widzowie wiedzą z góry, na czem się skończyć musi.

P. Modrzejewska oddała rolę tytułową znakomicie. Nie tracąc nigdy z oka całości, rozwijała po mistrowsku wszelkie drobne szczegóły, cieniowała przejścia, stopniowała rozwijające się uczucie tak, iż rosło ono przed oczyma widzów, dopóki w końcu nie doprowadziło do nieuniknionej konieczności, t. j. do wyznania, iż kocha i jest zwyciężoną.

P. Wolański z roli Don Cezara wywiązał się bardzo szczęśliwie, szczególniej w chwilach udanej swej obojętności i dumy.

P. Baranowski rolę Perona oddał także bardzo dodobrze — zarzucić mu możemy zanadto rubaszności w niektórych ustępach, na czem całość tracić musiała.

P. Leszczyński jak zawsze lubował się swoją okazałą postacią, i mówił dwoma głosami.

P. German i p. Rakowska nie wyglądały wcale na księżniczki, na krewne i towarzyszki następczyni tronu. Pierwsza szczególnie w scenie w ogrodzie rozwijała pewną kokieterję, zapominając, iż rola ta jest tylko ilustracją niejako do roli Diany.

Piękne chóry utworu p. Nikorowicza, odśpiewane za kulisami, wypadły tak niegodziwie, że publiczność kładła się od śmiechu, a kompozytor był w rozpaczy. Czy dyrekcja nie może postarać się przynajmniej o dobre chóry? czyż i to tak trudno, zebrać głosy i dobrze je wyuczyć? Tu już tylko pracy się wymaga i staranności, nie talentu nawet kierowniczego, bo tego nie szukać w naszej dyrekcji. Tu już dyrekcja nie może powiedzieć za pośrednictwem swych organów, że teatr będący „prywatnem przedsiębiorstwem“ nie może być doskonałym — bo wyuczenie chórów to nie rzecz, któraby kosztowała tysiące. A czyż naprzykład wybaczyć można taką niegodziwość, żeby, gdy Diana grać ma na swej lutni, dyrektor głośnym dzwonkiem dawał znak, iż grać trzeba za kulisami, i przezto niszczył zupełnie wszelkie złudzenie? *A.*

Sprawy stowarzyszeń.

Z odbytego w dniu 10. b. m. koncertu wpłynęło do kasy Towarzystwa Opieki Narodowej złr. 427 kr. 20 czystego dochodu, po potrąceniu wydatków w kwocie złr. 67.

Niezwykły ten dochód przy wzrastających codziennie obowiązkach Towarzystwa pozwolił zaspokoić naglące potrzeby i braterską ręką złagodzić niejedno nieszczęście.

W obec przykrego położenia wychodźtwa polskiego we Francji a usuwania go pod wpływem obcego rządu z oddawna zajmowanych miejsc w Turcji, wydatki Towarzystwa w małej tylko części stałemi środkami pokrywane być mogą.

Z podwójną więc wdzięcznością Zarząd Towarzystwa składa najszczersze podziękowanie wszystkim osobom, które talentami i współpracą swoją przyczynić się raczyły do urządzenia wspomnionego koncertu. Dziękujemy tem bardziej, że wszędzie przyjęto nas z uprzejmą chęcią i prawdziwie patryotycznem współczuciem. Pan Karol Mikuli, dyrektor Towarzystwa muzycznego, obejmując artystyczne kierownictwo koncertu, zapewnił jednocześnie, że w każdej chwili liczyć możemy na jego gotowość.

Równa gotowość spotkała nas ze strony Pani Heleny Modrzejewskiej i od całego grona Szanownych Pań i Panów, które ofiarowało tą razą łaskawy współudział w koncercie, w urządzeniu tegoż i rozprzedaży biletów.

Przy częstszem takiem poparciu, mimo trudnych dzisiaj warunków, Zarząd Towarzystwa ma nadzieję, że Opieka Narodowa stanąć by mogła na wysokości swojego zadania.

Członek Komitetu zarządzającego: *Wiktor Wiśniewski*, k. b. w. p.

Prezes Towarzystwa: *Walerjan Podlewski.*

NADESŁANE.

Na wystawę dzieł sztuki, urządzoną w Narodnym Domu przez Towarzystwo przyjaciół sztuk pięknych we Lwowie, nadszedł obraz olejny **Wilhelma Leopolskiego „Kasztelan W. Orłowski, z czasów Zygmuntowskich“.** — Na wielustronne żądanie wystawa przedłuża się włącznie do 2. Lipca b. r.

K. Dzbański.

Tabaki do zażywania *„Perique i Natchstoches“* sprzedają się w flaszkach, zaś *„Nostran sciellissimo“* w puszkach blaszanych o pół funta cłowego.

Liście tytoniowe tureckie i syryjskie, bardzo przednie i przednie, sprzedają się w paczkach płótnem obwiniętych od 1 oka do 2 i ćwierć funta wiedeńskiego.

O jakości tytoniu, cygar, cygaretów i tabaki do zażywania i o znacznym doborze takowych, pp. amatorowie łatwo przekonać się mogą.

E. S.

Zawiadamia się P. T. Publiczność, iz *istniejący we Lwowie* **pod nrm. 301** w mieście **c. k. skład komisyjny osobliwszych gatunków tytoniu, cygar, cygaretów, tabaki do zażywania i liścia tytoniowego** zasługuje na osobliwsze uwzględnienie.

Zarazem zwraca się uwagę pp. amatorów, że trzy gatunki **Bajaderes** i **Vevej eongs** sprzedają się w skrzyneczkach po 50 sztuk; **inne zaś gatunki eygar** w skrzyneczkach o 100 sztuk, a **cygara Virginia salonowe** w pudełeczkach o 100 sztuk; zresztą wszystkie gatunki cygar także w paczkach o 4 sztuk.

Cygaretta najprzedniejsze sprzedają się w pudełeczkach o 100 sztuk i w puszkach o 10 sztuk; **bardzo przednie** zaś bez okładki do ust w pudełeczkach do zasuwania o 50 sztuk, i w puszkach do zasuwania o 10 sztuk.

Co się tyczy doborowych tytoniów jakie skład posiada nadmienia się, że **Varinas w skrętkach** sprzedaje się nieopaczkowany, **turecki** najprzedniejszy w paczkach o 1 funt. cłow., **turecki sułtański** w puszkach o pół fnt. cłowego, reszta gatunków tytoniu w paczkach o 1 funcie cłowym.

Z wyjątkiem tureckiego sułtańskiego i Varinas w skrętkach, będzie można dostać innych gatunków tytoniu także w paczkach o 2 łutach wiedeńskich.

Inseraty.

Ważne doniesienie
dotyczące jarmarku w UŁASZKOWCACH

Mam zaszczyt zawiadomić Szanowną Publiczność, że i tego roku przybędę **do Ułaszkowiec z wielkim wyborem towarów rękawiczniczych** własnego wyrobu, tusząc sobie, iż Szanowna Publiczność przekonaną jest od lat kilkunastu, że tylko dobry i trwały towar wyrabiam, za co na krajowych wystawach dyplomem honorowym zaszczycony zostałem.

Zarazem mam zaszczyt donieść, że **rękawiczki po niesłychanie nizkich cenach** sprzedawać będę, a mianowicie: **rękawiczki damskie** od **65** ct. i wyżej; **rękawiczki mężkie** od **95** ct. i wyżej; **Rękawiczki dwuguziczkowe** od **85** ct. i wyżej. Wszelkie inne towary jakoto: **pularesy, zabawki, krawatki, szaliki, wodę kolońską, szaurówki zupełnie wysprzedaję** za jakąkolwiek cenę, gdyż tych towarów więcej trzymać niemyślę.

Dziękując Szanownej Publiczności za okazywane mi tyloletne zaufanie, żywię nadzieję, że Szanowna Publiczność raczy mnie i tego roku swemi względami zaszczycić, i polecam się jej łaskawym względom.

Miejsce sprzedaży w Ułaszkowcach obok traktyerni p. Maksymowicza i obok sklepu p. Boscowitza.

Uniżony sługa

Walerjan Dworski,

rękawicznik i bandażysta w hotelu „*George*" we Lwowie.

Gotowa bielizna mężka, kołnierzy, manszety i krawatki,

Dywany odpasowane i łokciowe, rogóżki kokosowe.

GŁÓWNY skład towarów KOMISOWYCH

przy placu Marjackim w domu ks. Ponińskiego dawniej Gromadzińskiego 342 m. poleca swój

wielki skład płócien, BIELIZNY STOŁOWEJ

i wiele **innych artykułów po cenach najumiarkowańszych.**

1433 6—6

jakoteż **Obstalunki na bieliznę**

zamówienia na prowincję uskuteczniają się jak najspieszniej i najakuratniej.

Materja spodniowa niciana, przody, plaidy, deszczochrony,

Chustki do nosa, firanki, szkarpetki i pończochy.

EDWARD WEISS

we Lwowie pod białym orłem
przy ulicy halickiej naprzeciw kryminału, pod l. 455¼,
poleca swój

Skład towarów korzennych

oraz

Herbaty, Rumu, Likierów i Win
jakoteż
WODY MINERALNE
po najumiarkowańszych cenach.

Zaręczając za rzetelną usługę, uprasza o liczne odwiedziny. — Zamówienia na prowincję uskutecznia się za zaliczką pocztową.

Skład fortepianów

LUDWIKA MARKA

przy ulicy Szerokiej l. 10¼, zaopatrzony w jak największy wybór tych instrumentów, niemniej jak pianina itp. poleca swoją

wypożyczalnię fortepianów.

Cena miesięczna za fortepian przegrany 3 do 4 złr. — Nowy fortepian lub pianino 5 do 10 złr. 1456 4—?

ZAKŁAD
leczenia wodą i gimnastyką
w SASSOWIE,

położony w uroczej lasowej okolicy, jest otwarty na lato od 1. maja, zaopatrzony w nową i wyborną traktjernię i powiększony o 6 „pokojów mieszkalnych. Cena za pokój z kuracją tygodniowo 10 złr. 50 ct., — za całodzienny wikt 70 ct. w. a. Najbliższa stacja kolejowa o milę oddalona, Złoczów.

Franciszek Medwey,
1373 12—? dyrektor zakładu.

CUKIERNIA

pod firmą

A. ŻMUDZIŃSKI i M. KOSTECKI

we Lwowie,

poszukuje ucznia

ze szkół realnych lub gimnazjalnych, od 13 do 14 lat mającego.

W Handlu

KAROLA GLANZA

przyjmują się zamówienia na

sztuczne ognie.

Cenniki rozsyłają się na żądanie bezpłatnie.

DO SPRZEDANIA

pod bardzo korzystnemi WARUNKAMI **SREBRA STOŁOWE** i inne

Bliższą wiadomość *udziela*

Bióro Administracji „Gazety Literackiej." 1—?

Wydawcy: J. Śliwiński i L. Wisłocki. — Odpowiedzialny redaktor: Jan Śliwiński. Czcionkami K. Pillera.